№ 21. 23. Maja 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ruch narodowy na Szląsku

napisał

Wojciech Szukiewicz.

Podobnie jak wszystkie ziemie słowiańskie, w skład monarchji Austro-Węgierskiej wchodzące, tak i Szląsk cieszyński przedstawia pole nieustannej walki pomiędzy ludnością tubylczą a żywiołami napływowymi: Niemcami i Madjarami. Strzegąc się na razie wszelkich uogólnień, podnieść należy, iż, jak z poprzednich rozdziałów wynika, Niemcy na Szląsku przynajmniej są bardzo wybitnie wobec Polaków uprzywilejowani. Nietylko bowiem dla podtrzymania swej hegemonji zrobili znaczny wyłom w konstytucji, nie zaprowadzając Rad powiatowych, w których Polacy znaczną posiadaliby większość, ale nadto wszelkich innych godziwych i niegodziwych używają środków, byle tylko swe samolubne cele osiągnąć. Cała ordynacja wyborcza, całe szkolnictwo od podstaw aż do szczytów, zorganizowane są na korzyść Niemców. Po nadto nie wahają się oni nawet religji używać jako broni w tej nierównej walce. Zgiermanizowane już i zdemoralizowane duchowieństwo protestanckie poucza n. p. wiernych, że całą wiarę swoją zawdzięczają Lutrowi, czyli pośrednio Niemcom, oraz ich kulturze; powinni więc dążyć do językowej, a co za tem idzie i narodowej jedności z Niemcami. Nie wiadomo istotnie, co bardziej podziwiać w tym wypadku: spryt czyli też niegodziwość. Niepoślednią rolę w tej walce odgrywa zorganizowany i zasobny *Schulverein*, operujący na Szląsku zawzięcie. O wiele smutniejszy moment tej emancypacyjnej walki żywiołu polskiego na Szląsku, stanowi fakt, że obok Niemców i Czesi zajęli wrogie, niestety, względem nas stanowisko. Wciskają się oni silnie od zachodu na granicy morawskiej, niewyraźnie przez ruchomą rzeczkę Ostrawicę utworzonej. Dalej w okręgach górniczych: Dąbrowej, Orłowej, Karwinej, Ostrawy polskiej, mając na roboczą ludność polską wpływ materjalny, zakładają szkoły ludowe z językiem wykładowym czeskim. Doprowadzili oni tę sztukę dalej niż Niemcy, bo oto sprawili kilkakrotnie, że ludność rdzennie polska urzędowo prosiła sama o czeską szkołę ludową, a po cichu, prywatnie starała się o niedopuszczenie do tego. Dotychczasowe stanowisko, jakie względem Czechów i spraw czeskich zajmowałem, a którego nie zmieniłem, uwalnia mnie z góry od zarzutu uprzedzenia czy złej woli. Owszem podziwiam narodowościową walkę czeską i pragnąłbym szczerze, aby ją Polacy naśladowali. Ale uwielbienia swego nie mogę posuwać aż do zapoznawania krzywd, jakie Czesi poczynają nam robić na Szląsku, gdzie istnieje przeciwko nim słuszne zda się rozgoryczenie wszystkich narodowców. Cieszyn pod względem pocztowym należy do Berna; to też urzędnikami poczty w Cieszynie są od góry do dołu Czesi. Ztąd pochodzi, że aczkolwiek Cieszyn nie liczy więcej nad 600 Czechów, to jednak posiadają oni wpływ znaczny, bo składają się z inteligencji, ludzi średnio wykształconych, uświadomionych, wśród których giermanizacja nie robi postępów.

Zasoby wojenne garstki narodowców polskich na Szląsku, siły ich, są bardzo szczupłe i niewystarczające. Jedyną bronią są na razie stowarzyszenia i dziennikarstwo, gdzie przez Niemców zmajoryzowani być nie mogą. Przejrzyjmy ten ubogi arsenał i poznajmy go bliżej

Wśród polskiego dziennikarstwa na Szląsku, pierwsze bez wątpienia miejsce zajmuje »Gwiazdka cieszyńska«, tygodnik, pismo katolickie poświęcone nauce, przemysłowi, zabawie i wiadomościom politycznym. Założona przez Pawła Stalmacha, nie upadła po śmierci jego i oto 45 lat walczy o prawa narodowe Szlązaków, z tą jednak różnicą, że kiedy za Stalmacha, który był protestantem, kwestja narodowościowa była rdzeniem i duszą »Gwiazdki«, obecnie na pierwszym planie stoi religja, katolicyzm, a dopiero na drugim polskość. We wszystkich programach przez Redakcję układanych, we wszystkich stawianych postulatach, przedewszystkiem

chodzi »Gwiazdce« o katolicyzm, a dopiero potem o polskość. Znam wprawdzie jeden tylko rocznik (1892), ale już to z powodu poruszania sprawy szkolnej w Sejmie, już z powodu śmierci posła dr. Demla i nowych wyborów, miała Redakcja sposobność w krótkim czasie zaznaczyć kilkakrotnie swoje ciasne, stronnicze stanowisko. W obronie klerykalizmu, w napaściach na socjalizm i wszystkie wolnomyślne, postępowe ruchy współczesne, zdradziła »Gwiazdka« swoje zacofanie, a nawet wstecznictwo. I gdybyśmy mogli nazwać taki kierunek dla Pola ków szlązkich korzystnym, to »Gwiazdka« spełniałaby w zupełności swoje zadanie. Że atoli wszelkie więzy wyznaniowe za wysoce szkodliwe dla polskości, nic wspólnego przynajmniej na Szląsku z katolicyzmem nie mającej, uważać należy, przeto »Gwiazdce« trzeba zrobić zarzut, że nie odgrywa dla nas na Szląsku tej roli, jakąby odegrać mogła i powinna. Z drugiej atoli strony przyznać jej trzeba, że do oświaty lud napędza, czystości języka strzeże, świadomość narodową budzić usiłuje, łączność Szląska z resztą Polski wykłada, za polskość choć głównie dla interesów kościoła kopje kruszy, słowem choć połowicznie pismem polskiem jest (mówię połowicznie, gdyż właściwie »Gwiazdka« jest pismem katolickiem w polskim języku redagowanem) pewną korzyść przynosi. Gdyby nie to, że czytelnictwo na Szlązku mało jeszcze rozwinięte, należałoby dążyć do założenia drugiego pisma politycznego polskiego na Szląsku o charakterze czysto świeckim, broniącego jedynie i wyłącznie interesów naszej narodowości, a nie zasklepiającego się w interesach jednego wy znania i nie marnującego siły na walki wyznaniowe. Na zakończenie ustępu o »Gwiazdce« niech mi wolno będzie publicznie podziękować Szanownej Redakcji za uprzejme a bezinteresowne pożyczenie mi rocznika »Gwiazdki«.

Za ważniejsze może od »Gwiazdki cieszyńskiej« uważać należy inne pisemko, mianowicie »Rolnika szląskiego«, organ Towarzystwa rolniczego cieszyńskiego.

Większą ważność przypisałbym »Rolnikowi szląskiemu« dlatego, że dotychczas na Szląsku polskiej inteligencji prawie nie ma, a za to polskim jest lud wiejski i ten jest dobrym Polakiem-patrjotą, kto nad oświatą i ekonomicznym rozwojem ludu pracuje. »Rolnik szląski», wychodzący dwa razy na tydzień, zawiera praktyczne wskazówki, rady, przepisy, odnoszące się do rolnictwa, chowu bydła, rybołówstwa, pszczelnictwa, sadownictwa, obok tego zaś pomieszcza kiedy niekiedy artykuły z zakresu higjeny. Jako organ Towarzystwa rolniczego cieszyńskiego drukuje sprawozdania z walnych zgromadzeń i posiedzeń wydziału, obok tego zaś interesuje się bytem włościanina szląskiego w najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu. Z jednej strony domaga się spolszczenia czysto niemieckiej szkoły rolniczej w Kocobęcku, z drugiej propaguje gorliwie zakładanie bodaj w każdej gminie »Kółek rolniczych« jako części organicznie ze sobą przez Towarzystwo rolnicze połączonych. Tu miejsce poruszyć pewien ujemny objaw w życiu ludu szląskiego, którego powstanie zawdzięczamy agitacji katolickiej.

Towarzystwo rolnicze cieszyńskie dąży do tego, aby cały Szląsk zarzucić siecią »Kółek rolniczych«, których członkowie należeliby również do Towarzystwa, osiągając w ten prosty sposób dwa cele: miejscowy i ogólny. Towarzystwo zapewnia znaczne korzyści należącym do niego Kółkom, a przytem samo rośnie na siłach, powadze i znaczeniu tak, że i Wydział krajowy i Rząd muszą się coraz bardziej z tą rdzennie polską, narodową instytucją liczyć. Tymczasem kler katolicki agituje zakładanie Kółek rolniczych katolickich, nie wchodzących w skład ogólnego Towarzystwa rolniczego. Co katolicyzm ma wspólnego z rolnictwem dociec doprawdy trudno. Jestto rozkładowa czynność duchowieństwa katolickiego na Szląsku, któreby miało wielką ochotę zagarnąć dla swoich wyznaniowych celów niewyznaniowe do tej pory Towarzystwo rolnicze. Przyszłość pokaże, czy się ten plan uda; tymczasem »Rolnik szląski« walczy z tym szkodliwym i niebezpiecznym prądem, pouczając, że każde Kółko rolnicze może sobie przyjąć dodatkowy tytuł katolickiego czy ewangielickiego, byle tylko należało do związku. Dalej wykazuje »Rolnik« społeczne znaczenie instytucji »Kółek« jako szkoły życia obywatelskiego, solidarności i samopomocy. W końcu zachęca przez usta jednego ze swoich współpracowników do tworzenia »chłopskich spółek gospodarczych« jako wyższej formy rozwoju społecznego i ekonomicznego, niż gospodarstwa odrębne. Do »Rolnika« dodany jest »przegląd polityczny«, w duchu narodowym redagowany, a od wszelkich konfessyjnych przymieszek wolny. Znaczenie tego pisma dla ludu szląskiego jest bez wątpienia wielkie, to też zasługuje na chwalebną wzmiankę i wyszczególnienie.

Nie jakoby dla ważności należało postawić na trzeciem miejscu »Przyjaciela ludu«, lecz mówić o nim będę z powodu, że podobnie jak »Rolnik szląski« redagowany jest przez tego samego człowieka ks. Franciszka Michejdę.

(C. d. n.)

Podcięte skrzydła.

„Nie dziwcie się młodemu chłopakowi, gdy mu płonie w głowie — młode piwo wyszumieć musi. I ja byłem młodym i młodo, bardzo młodo patrzyłem na świat — i mnie zabłysła gwiazdka młodej, prawdziwej miłości. Dziś jam już trzeźwy i stary,

a jeśli posłuchać zechcecie, opowiem wam, jak przyszedłem do tego, czem dziś jestem.

Skończyłem szkoły średnie, mając zaledwie lat siedemnaście, a że mi ojciec zostawił wybór swobodny kierunku, w którym pójdę, a ja od dzieciństwa lubiłem strugać w drzewie i lepić bodaj z chleba figurki, prosiłem zatem, bym mógł jechać do szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Artystyczne zdolności wmówili we mnie koledzy, a że tak przyjemnie marzy się o sławie, że wydaje się ona młodym tak łatwą do zdobycia i uroku pełną n ewiastą, a ja miałem rzeczywiście łatwość wrodzoną w rysunku i modelowaniu, więc i zostać „wielkim artystą“ wydało mi się zupełnie naturalnem.

Stary ojciec inaczej trochę patrzył na sztukę, więc też usłyszawszy o moim wyborze, powiedział:

— Nie myślę ja ci stawiać przeszkód, jeżeli czujesz w piersi miłość dla sztuki, jeżeli życie poświęcić jej pragniesz, ale muszę ci zwrócić uwagę, że to droga trudna i ciężka; zastanów się, czy masz dość siły, by wejść na nią, czy nie braknie ci wytrwałości, czy nie znienawidzisz wybranej dziś bogini, jeżeli, miast laurów, z ciernia ci wieniec uwije. Nagrodę tę kolczastą częściej, niż spodziewany wieniec sławy zdobywa artysta.

Ale co mnie było mówić wtenczas o cierniach! Dla mnie wszystko nackół rozkwitało pierwszą, majową zielenią — życie wydawało się jakimś ogrodem róż i laurów, po które dość rękę wyciągnąć, by je posiąść, a ciernie? Toć te nie straszne, trzeba tylko chcieć, a można nie pokłuć się niemi. A czułem się dość silnym, by ominąć ciernie, dosięgnąć sławy i szczęściem uwieńczyć życie!

Z poczuciem też sił własnych, z zapałem dla obranej pracy wyjechałem do Krakowa. Znacie nasze ówczesne życie, znacie biedę materjalną, którąśmy wszyscy, mniej i więcej zamożni znosili, bośmy wspomagali się wzajem, więc i niedostatek razem cierpieli. Zamieszkałem z paru kolegami w pokoju, odnajętym od moich dalekich kuzynek i tam poznałem, co to miłość. Przedmiotem jej była właśnie jedna z kuzynek moich, wprawdzie starsza odemnie coś ośm lat, ale tego nie bierze się jeszcze w rachubę w ośmnastym roku życia. Justka była, tak przynajmniej określała ją moja rozbujała wyobraźnia, smukłą i zgrabną blondynką, (dziś widzę, że była przedewszystkiem szkaradnie chuda), o drobnej twarzy, białej i różowej, która zdobiła bardzo kształtną rzeczywiście głowę. Co mnie jednak zrobiło jej niewolnikiem, to oczy, oczy, które były dla mnie obrazem głębin morza i miały kolor rzeczywiście wodnisto-zielonawy. A są to najniegodziwsze w świecie oczy — takim uwierzyć prawdziwe nieszczęście! Skarb ten miał jednak i ciemną dla mnie stronę: Julka była zaręczona! Co gorzej jeszcze, kochała podobno narzeczonego. Ale kiedy się jest tak bardzo młodym, kocha się chętnie miłością platoniczną, wymaga się tak mało! Ja też marzyłem tylko, by wolno mi było życie całe uwielbiać, służyć jej, jak najpokorniejszy i najoddańszy niewolnik, mogłem więc służyć jej, choć zamężnej, tembardziej, że kuzynowstwo dawało mi po temu pewne prawa.

Czy Julka domyślała się uczuć, jakie we mnie wzbudziła? Ja gotów byłem przysięgać, że nie wie o nich, że nie przypuszcza nawet podobnego z mej strony zuchwalstwa Wdzięczny jej byłem niesłychanie, że raczyła korzystać z moich usług, to też sto razy na dzień pukała do naszych drzwi, wołając:

— Kaziu, jabym tak potrzebowała kawałka wstążki! Może wychodzisz gdzie, tobyś mi kupił?

A ja, naturalnie, natychmiast potrzebowałem wyjść z domu i z kupioną wstążką pędziłem z powrotem na złamanie karku.

Albo znowu:

— Jutro taki zajmujący koncert! Prosiłam mamy, żeby nas wzięła, ale mama powiada, że miejsca za drogie. Może wy tam będziecie mogli dostać bilety po zniżonej cenie?

I oczywiście przynosiłem bilety na pierwsze miejsca za połowę ceny (dopłacając resztę z własnej kieszeni, nieraz już i tak dobrze wypróżnionej).

To znów trzeba było co wyrysować, to brakło książek do czytania, to nuty jakiegoś modnego walca należało wydobyć, choćby z pod ziemi itp. Dziś widzę, że kuzyneczka korzystała zręcznie ze spostrzeżonej miłości żółtodzióbka i prawdopodobnie nieraz uśmiała się ze mnie z narzeczonym. Ale wówczas, a nawet w lat kilka potem, byłbym się strzelał z każdym, ktoby się ośmielił wyjawić podobne zdanie.

Wkrótce Julka poszła za mąż i z mężem wyjechali gdzieś na prowincję. Zwolna zacierał się w myśli mej i sercu obraz uroczej kuzynki. I byłbym może wyleczył się z tej miłości zupełnie, gdyby nie nieszczęście, które jej przedmiot znów mi nasunęło na oczy.

Kiedy w lat kilka potem byłem za granicą, by się kształcić dalej, na co, jako uwieńczony na wystawie uczniów dostałem stypendjum, otrzymałem list od Julki, uwiadamiający mnie o śmierci jej męża W jednej chwili odżyły we mnie wszystkie dawne dla niej uczucia, odpisałem jak najczulej, ubolewając nad poniesioną przez nią stratą i zapytując, co dalej zamierza? Na to ostatnie pytanie znalazłem wkrótce odpowiedź w liście ojca, który uwiadamiał mnie, że przeniósł się na mieszkanie do Krakowa wraz z ciotką Walerją, która mnie wychowała i że Julka pragnie zamieszkać przy nich, by w gronie życzliwych przyjść do równowagi po ciosie, który ją dotknął. Teraz bowiem i matka jej już nie żyła, dwie siostry poszły w świat, by zdobyć sobie stanowisko, prócz nas nie miała ona już nikogo.

W piersi mej zawrzało szalone pragnienie obaczenia tej mojej ukochanej Julki, nie zwlekając też, porzuciłem studja i jednego pięknego dnia otwierałem drzwi ojcowskiego mieszkania. Pierwszą osobą, którą napotkałem, była właśnie „ona“. Od stóp do głowy w czerń owita, z bujającemi nad pochy-

lonem czołem włosami jasnemi, z oczami, zda się, nabrzmiałemi łzami, wydała mi się stokroć jeszcze. niż dawniej, piękniejszą.

— Jakże smutno spotykamy się, kuzynko!

— Ach, Kaziu! Ciężko mnie Pan Bóg dotknął. Zostałam sama zupełnie na świecie i tylko dobroć wasza, na którą liczę, może choć trochę złagodzić moją boleść.

I strumień łez spłynął jej po twarzy.

— O, bądź przekonaną, kuzynko droga, że wszyscy o szczęście twe i spokój starać się będziemy.

— Nie śmiem prosić was o nic więcej, jak o trochę życzliwości. Ja przecież nie mam praw żadnych.

Jakże cudnie, jak młodocianie piękną wydawała mi się ta kobieta! Ani mi na myśl nie przyszło, że ma już trzydzieści parę lat, wyglądała na dwadzieścia parę ledwie. Ale bo też umiała, mimo żalu który zdawało się, pochłaniał ją zupełnie i uczesać się do twarzy, a zupełnie młodzieńczo i ubrać tak, by w oczy wpadał wzrost jej i elastyczne ruchy. Co prawda, nie trudno poruszać się lekko istocie złożonej „z mgły i galarety." Tej uwagi jednak, niestety! nie zrobiłem wówczas! Wówczas wszystko w niej mnie zachwycało.

— Ale ty już nie pojedziesz, Kaziu drogi — mówiła w kilka dni później. — Widzisz, twój ojciec, to anielski, święty człowiek, ale on już stary, z usposobienia nieprzystępny, ja nie śmiem odezwać się do niego. A ciocia Walerja tak nic nie widzi, na nic nie zwraca uwagi, prócz gospodarstwa! Ja się tu czuję strasznie osamotnioną, nie mam bratniego serca, do którego zwrócićbym się mogła! Nie pojedziesz już, Kaziu!

I wyciągnęła do mnie białą i szczupłą, choć nie bardzo malutką rączkę, z drżącemi paluszkami, a ja ucałowałem ją z zapałem i uroczyście przyrzekłem, że zostanę.

Zburzyło to w jednej chwili dawniej ułożone przezemnie projekta: chciałem jechać jeszcze do Włoch, a dopiero potem powrócić do kraju, przysławszy poprzedno na wystawę sztuk pięknych wykończoną za granicą grupę „Niewolnicy", która zyskała sobie ogólne uznanie między mojemi profesorami i kolegami. Ale czyż dla zadośćuczynienia jej woli, dla przyniesienia jej ulgi w takiej ciężkiej chwili życia, nie powinienem zrzec się oglądania bogatej w zabytki sztuki Italji? Czyż nie mogę pojechać kiedyś później? A pracę swoją i rzeczy pozostawione w Monachjum każę przysłać sobie. Nic na tem przecież nie stracę. W jej słowach czułem cichą skargę na obojętność mojego ojca i ciotki zdawało mi się, że ja powinienem jej to wynagrodzić, tej ukochanej mojej. A z czasem, gdy żal jej pierwszy przeminie, może mi ona będzie mogła być wzajemną? Na myśl o takiem szczęściu mąciło mi się w głowie. Miałem przecie dopiero dwadzieścia cztery lat, a żyłem tak skromnie dotychczas, że byłem zdolny jeszcze zupełnie młodzieńczo i poetycznie myśleć o miłości.

Ojciec nie rad był memu postanowieniu, pragnął on, bym studjował jak najwięcej i wyrobił sobie imię, widział, że mam po temu zdolności, że mogę być kiedyś chlubą współziomków, ale, jak zwykle, nie narzucał mi swojej woli i kiedy stanowczo powiedziałem, że chcę przetrawić najpierw to, czegom się uczył, a dalszą podróż na później odkładam, zgodził się, kłopocząc się tylko urządzeniem dla mnie pracowni i jakiego takiego mieszkania.

— Pozwól mi, ojcze, zostać trochę z wami, niech odpocznę, odetchnę, ze zdwojoną potem siłą zabiorę się do pracy.

— Dobrze, dziecko. Wiesz, żeś mi drogim gościem; boję się tylko, by cię wypoczynek nie rozleniwił.

— Ale, wuju, on przecież taki młody, nie zaprzęgajcie go już tak do pracy, ma życie całe przed sobą — broniła mnie Julka. — Niech zabawi się trochę.

— Moja Juleczko, dla prawdziwego artysty sztuka, to nie praca przymusowa, a potrzeba ducha. Ale wiem, że chwilowo i artysta pragnie być swobodnym, zwykłym człowiekiem, może to teraz na Kazia taka przyszła chwila, pozostawiam mu też zupełną swobodę zostać z nami, póki zechce. Ja urządzę mu tymczasem jaką taką pracownię, bo na wielkie wygody i ułatwienia mnie nie stać.

Podziękowałem ojcu serdecznie, ale serdeczniej jeszcze, choć bez słów a tylko spojrzeniem Julce. Ciocia Walerja była tymczasem w kuchni, ale ucieszyła się, gdyśmy jej powiedzieli, że mieć będzie w domu swojego ukochanego bratanka.

Marja Minasiewiczowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z dziedziny folkloru.

Biblioteka „Wisły" pomnaża się coraz to nowemi, a dla folkloru cennemi nabytkami. W dziesięciu tomach, już wydanych, znaleść można bardzo sumienne studja i monografie z tej dziedziny pp. M. Federowskiego, S. Chełchowskiego, Z. Wasilewskiego, R. Zawilińskiego, M. Udzieli, S. Polaczka i innych, stale zasilających pracami swemi „Wisłę". Obecnie wyszedł z druku IX. tom „Biblioteki", w którym mieści się studjum etnograficzne p. t. „Bojarzy międzyrzeccy" przez Adolfa Pleszczyńskiego (Warszawa 1893). Nazwę „bojarów" zachowali mieszkańcy kilkunastu wsi, położonych w górnej części powiatu radzyńskiego, a które ongi stanowiły cząstkę rozległych dóbr międzyrzeckich. Bojarzy ci środkują pomiędzy drobną szlachtą, do której należą pochodzeniem, a włościanami, do których zbliża ich poziom wykształcenia, strój, obyczaj i mowa. Geneza ich taka: około 1442 r., dziedzic Międzyrzeczczyzny, Jan Nasutowicz, starosta brzeski, w celu zaludnienia rozległej, a prawie pustej przestrzeni swych dóbr, sprowadził osadników. Z nich jedni byli to niewolni włościanie z innych dóbr

starosty; drudzy zaś, wolni, drobna szlachta i kmiecie z sąsiedniego Mazowsza. Ci przyjęli obowiązek stawania w czasie potrzeby zbrojno obok dziedzica i urzędownie zwani byli bojarami. Potomkowie ich przedstawiają dzisiaj pewną całość etnograficzną, której poznanie wziął autor za przedmiot swej pracy. Studjum to bardzo zajmujące i uderzające sumiennością w nagromadzeniu materjału. Opowiedziawszy cośkolwiek z przeszłości i doby obecnej bojarów, autor opisuje ich ubiór, wsie i domy, gospodarstwo, pożywienie i przemysł. Potem zaznajamia nas z właściwościami gwary miejscowej i podaje słowniczek wyrazów i zwrotów tej gwary. Z kolei przechodzi do obyczajów i zwyczajów, wierzeń i przesądów. Ciekawy jest rozdział o medycynie ludowej, w którym znajdujemy pojęcia ludowe o układzie ciała ludzkiego i chorobach, oraz spis leków, używanych przez lud. Większa część książki poświęcona jest literaturze ustnej bojarów. A w dodatku mamy nadto mapę i tablicę statystyczną wsi bojarskich, oraz melodje do pieśni.

KNIAŹ HILARKO

napisała

Zofja Grynbergowa.

(Dokończenie.)

— Aus! Już po kniaziu — zawołał felfeber z tamtej strony.

Kulawy Hilary pobladł jak ściana, trzęsły mu się usta i nie mógł słowa wymówić. Cicho się zrobiło pomiędzy ludźmi po obu stronach rzeki, tylko gałązki wierzb drgały i szumiała woda.

Hilarko płynął, jednak nie wiedział nikt czy on żywy był czy nieżywy. Dopiero kiedy do wierzb gęsto rosnących dopłynął, chwycił się lewą ręką gałązek wystających jeszcze, a prawą zaczął wyciągać dziecko żydowskie, które trzymał za spodniczynę. Dopiero wtedy zrobił się wrzask zagłuszający nawet szum rzeki. Chłopak jakiś, co biegł ponad samym brzegiem, spuścił w tem miejscu sieć swoją do wody.

— Hilarko, trzymaj! wołano, a Hilarko podniósł głowę, jakby się ocucił i posunął dziecko do sieci. Kilku Słońskich ciągnęło już sieć do góry, a Hilarko obejmował nogami pień wierzby, którą namacał w wodzie.

— Uha! To ryba! krzyknął Tomek Słoński kiedy już Ryfcia leżała w namulistym piasku.

— Hilarko trymaj, chapaj sokulu! wrzeszczeli spuszczając sieć znowu. Hilarko chwycił ją najpierw zębami i podpłynął do brzegu. Jeszcze kilka razy się zatrzepotał jak ryba, wylazł na brzeg, jak nowonarodzony człowiek i popatrzył jeszcze raz poza siebie na wodę, na kładkę, która uciekała z prądem, na jakąś strzechę osmoloną, która płynęła, migając się tylko po wodzie, a potem pobiegł i zaczął naciągać swoję bundę starą na swoje stare kości.

Tymczasem na brzegu cucili Surcię i Ryfcię małą. Z tamtej strony rozlegała się komenda: Doli hołowow! Na dół głową! a Słońscy trzęśli dziewczyniną, z której woda buchała.

— Zuby otworyty! Okowitki nalać! krzyczał pisarz Dominik, i dodał raptem zwykłym głosem swoim te słowa: Wiecie co, ten Hilarko nie taki głupi, jak się zdaje, on gotów dostać nagrodę za uratowanie człowieka.

— Poide kniaź Hilarko jeszcze do Lwowa — mówił Michał.

— Tak pojedzie do Lwowa jak ja, tak dostanie on nagrodę jak wy! zamruczał felfeber.

— Dlaczego niema dostać? pytał Hilary.

— Kto mu napisze do starostwa? to jest eins.. mówił felfeber rozkładając palce.

— A od czegoż ja jestem? — zamurkotał pisarz. — Ja sam napiszę zaraz, zanim Hilarko kniaź dostanie się tutaj, zanim woda spadnie.

— Jeszcze i tak nie dostanie!

— Ouwa! A cóż to — chłop z Krowinki dostał, a szlachcic czortyniecki to ma tańsze życie?

— E! takie szlachectwo! taki kniaź Hilarko.

— Bebee! on może lepszy szlachcic od nas wszystkich.

— Idy, idy! krow bu....! taki mi szlachcic.

— Nie dostanie, bo nie było niebezpieczeństwa życia, ja znam prawo! — mówił felfeber.

— Co nie było niebezpieczeństwa?

— A nie było! Wierzby tędy, wierzby owędy!

— A Hilarko znaje płowaty jak ryba pij szczupak!

— Kto wilczycę zastrzeli, ten ma dukata, kto człowieka uratuje, ten ma piątkę — i koniec.

— Ouwa! taki człowiek, co się topił i taki ten, co ratował! kniaź taki!

— A cóż to jest złego: kniaź.

— Jakby mi kto powiedział kniaź, to bym go zamalował po prostu i aus!

— No! swoją drogą, że kniaź to pośmiechowisko, ale w paragrafach to słowo nie stoi, a Hilarko dostanie nagrodę.

— A ja wam mówię, że nie dostanie!

— No załóżmy się, panie felfeber, o pół garnca!

— Załóżmy się i aus! rzekł felfeber, wyciągając rękę.

Ktoś przeciął złożone ręce i zakład stanął.

Na drugi dzień woda już spadła znacznie, prefekt zwołał radę przed hotelem Anczla w celu postawienia kładki.

Pan Dominik przez rzekę rozmawiał, a raczej mówił sam do Hilarka, stojącego po drugiej stronie i oznajmił mu, że prośba już zrobiona. że za kilkanaście dni Hilarko dostanie do rąk własnych dziesiątkę w gotówce i pochwałę do tego ze starostwa.

Hilarko stał długo, nieruchomie a potem zacisnął jeszcze lepiej czapkę na oczy i poszedł.

— Na cmentarz się wybrał kniaź Hilarko — rzekł ktoś z obecnych po stronie Anczlowej.

Rzeczywiście Hilarko minąwszy karczemkę Surki szedł prosto na cmentarz. Chodził on tam ze dwa razy do roku na grób matki, dzisiaj też usiadł na murawie i rozmyślał długo. Skutkiem tych myśli było postanowienie, że wódki w usta nie weźmie, dopóki nie otrzyma nagrody i nie pojedzie do Lwowa. Tam odszukać musi ojca swego choćby na cmentarzu.

Hilarko czekał na odpowiedź ze starostwa i dotrzymywał przysięgi: nie pił wódki, choć Surka prosiła, żeby pił u niej codzień za darmo półkwaterek i prosiła i głaskała go po głowie i kazała Ryfci całować go po kolanach. Kniaź Hilarko zaczął nawet myć się codzień i kazał sobie ostrzyc włosy, które nie były wcale siwymi.

Już nową kładkę na Bystrzycy ustawiono tak samo wązką i bez poręczy, szlachta zebrała się znowu przed hotelem Anczla. Po nad rzeką szedł Hilarko w bundzie, już mijał hotel arystokratyczny, kiedy z gromady tam zebranej zawołał jeden z dygnitarzy:

— Kniaziu, kniaziu Hilarku, czekaj! Chodź na półkwaterek. Hilarko machnął ręką i szedł dalej.

— On wódki ani kropelki teraz — mówił Anczel.

— Oj ta kropelka, kropelka! ktoś westchnął.

— Hilarko, wróć się, nu! Stawiam ci halbę piwa Hilarko! wstał pan Hilary.

Hilarko stanął a potem włożywszy ręce w kieszeni bundy, zawrócił do hotelu. Nie zdjąwszy nawet czapki, wypił piwo i usiadł w kącie na ławce przed hotelem.

Z początku kpili sobie z niego panowie szlachta, a potem zapomnieli o jego obecności. Hilarko siedział, a spuściwszy głowę, patrzył z podełba gdzieś daleko przed siebie, jakby oczekiwał kogo. Nie ruszył się jednak i nie drgnął nawet, choć rzeczywiście na ścieżce z pomiędzy żyta wynurzyła się postać ludzka. Był to posłaniec gminy, który przynosił listy i pisma z poczty. Zbliżył się przyspieszonym krokiem, a wyjmując różne pisma z torby, podawał je panu pisarzowi Dominikowi, który czytał jedno za drugiem, przebiegając adresy oczyma.

— Do pana Hilarego Uruskiego w Czortynicach! zabrzmiał nareszcie głos pana Dominika. Cisza się zrobiła na te słowa a pan Hilary wziąwszy pismo z rąk Dominika otworzył i sam zaczął czytać. Po chwili jednak podał papier pisarzowi napowrót.

— Czytajcie ja tego nie rozumiem.

— Wezwanie! Do pana Hilarego Uruskiego w Czortynicach, mieszkającego pod numerem 15. Wzywa się pana, ażebyś do dni ośmiu zapłacił karę stemplową... Tak zaczął czytać pan Dominik i zerwał się z ławki. Tymczasem felfeber, który nadszedł właśnie stanął za plecyma Dominika i zawołał:

— A co, nie mówiłem: głupi kniaź Hilarko. Podaliście prośbę bez stempla, panie Dominiku, to się rozumie. Niech płaci teraz trzykrotnie. Reński pięćdziesiąt zapłacicie, kniaziu.

— Kara karą! huknął Dominik — a nagroda nagrodą, Panie Dobrodzieju. Hilarko, czekaj, będziemy rekursować od kary.

Lecz kniaź Hilarko nie słyszał już tego; on szedł ze spuszczoną głową ku kładce na drugą stronę.

— Nu! Hilarko przyszedł po rozum do serca. Pij Hilarko, pij! Ja wam nie żałuje — mówiła Surka, nalewając półkwaterek Hilarkowi, który pierwszy raz od czasu, kiedy przysięgał na cmentarzu, zaczął pić wódkę.

Hilarko pił i siedział w karczmie za stołem, choć wieczór się zrobił i gwiazdy pokazały się na niebie. Już Surka spać się położyła z dziećmi, kiedy Hilarko wyszedł z karczmy. Numer 15. i chata w której sypiał na piecu była po tej stronie, gdzie karczma Surki, ale Hilarko nie wiedzieć dlaczego chciał przejść na drugą stronę. Wszedł na kładkę pewnym krokiem, jak nigdy. Zdjął nawet czapkę z głowy, czego też nigdy nie robił i wyciągnąwszy rękę, zaspiewał jak nigdy.

— Tam na hori kiernyczońka, kiernyczońka...

Stanął raptem i urwał, czapka wypadła mu z rąk do wody, twarz kniazia Hilarka wesoła przedtem raptem posmutniała, Hilarko przechylił się niby za czapką i w tej chwili upadł z ławki do wody. Woda była płytka, tylko że Hilarko uderzył głową o pal, który sterczał w wodzie. Był to pal, który podpierał na środku dawną kładkę... Pjany Hilarko nie podniósł się z wody, nikt go nie ratował, bo tylko gwiazdy i księżyc widziały, jak padał, księżycowi i gwiazdom zaśpiewał on pierwszy raz w życiu.

Dopiero zrana znaleźli zaplątanego pomiędzy wierzbami trupa Hilarkowego. Dano znać zaraz do pana Dominika, który zerwał się natychmiast z pościeli. Właśnie wczoraj napisał był rekurs przeciw wezwaniu płatniczemu; leżał ten rekurs na stole i czekał podpisu Hilarkowego.

Niechże go czeka do dnia sądu ostatecznego.

Jadąc ze Stryja koleją ku zachodowi, można z okien wagonu zobaczyć wieś Czortynice. Z jednej stacji wyjechawszy, pociąg wpada na pola Czortynieckie i wyjeżdża na most żelazny nad tą samą Bystrzycą, w której utopił się kniaź Hilarko. Most ten przecina drogę, prowadzącą z Czortynia do Krowinki; często za rampą widzieć można wóz z końmi, a na nim parobczaka jakiego. To jeden ze szlachty czortynieckiej. Pociąg pędzi dalej, a tam na prawo błyska coś pomiędzy strzechami domków czortynieckich; to komin blachą obity na domku „felfebra“ błyska do słońca. Pociągi spieszą po kilka razy dziennie, nikt nie patrzy w stronę Czortyniec i wszelkie prądy postępowe nie troszczą się o nie. Tylko jeden z prądów tych nowoczesnych nie pominął obojętnie tej miejscowości; zjawił się w postaci komisanta rozwożącego oleodruki. Sprzedał on za gotówkę i na raty kilkanaście obrazów w Czortynicach, i wciągnął kilku Czortyńskich i Bilińskich kilku do towarzystwa imienia Kaczkowskiego.

To trudno! Nikt inny tam nie zaglądnął dotychczas.

Obrazki ze świata alpejskiego.

Kreślił

Dr. Jasiński.

(Ciąg dalszy.)

Powietrze w tym rajskim wąwozie jest idealnie czyste, ciepłota zaś powietrza tego jest jak najprzyjemniejszą, gdyż przez cały wąwóz możemy iść w półcieniu. Z jednej strony bowiem chroni go od upałów las liściasty, z drugiej zaś pasmo wzgórz, pokrytych zielenią. Rzeczony potok wije się i tworzy liczne zakręty. To też i droga, ciągnąc się wzdłuż jego koryta, czyni to samo. Za każdym zwrotem drogi zaś przedstawia się nam inny widok i zachwyca pięknością swoją. Przybywamy nareszcie w miejsce, w którem wąwóz się kończy i spostrzegamy na lewej, lekko pochylonej ścianie jego kompleks zabudowań, składający się z fabryki kos, z piętrowego domu mieszkalnego, z parterowego domu z wielką werandą i z kilku domów gospodarskich. Jest to tak zwana Griesau, posiadłość jednego z obywateli Spitala, a oraz fabrykanta kos. W sezonie letnim przestaje on wyrabiać kosy, a natomiast urządza restaurację i kawiarnię dla letników, bawiących tak w Spitalu a. Pyhrn, jak i w sąsiednim Windischgarsten. To też w dnie pogodne i ciepłe pulsuje w Griesau życie gwarne i wesołe. Zjeżdżają się tam bowiem na obiad liczni goście i bawią zwykle aż do zmroku.

Windischgarsten.

Miasteczko to liczy tylko 1100 mieszkańców, pomimo to jest ono ulubionem schroniskiem letniem Wiedeńczyków. Tak bowiem przyroda, jak i mieszkańcy czynią tam wszystko, aby letnikom pobyt uprzyjemnić. Przyroda otoczyła dolinę, w której Windischgarsten leży, potrójnym wieńcem gór, nadających tej dolinie uroku niezwykłego. Urok ten występuje w całej pełni przy zachodzie, a jeszcze bardziej przy wschodzie słońca, w chwili, gdy na widnokręgu sylwety gór Sengsen i Wielkiego Priela rysują się w różanem świetle zorzy, dolina zaś, pogrążona jeszcze we śnie, jest pokryta mgłą szarawą i jak puch ledziuchną. Scenerja ta zachwyca i chcielibyśmy przypatrywać się jej jak najdłużej. Atoli znika ona w miarę wznoszenia się słońca ponad szczyty gór. Równocześnie ulotnia się także rzeczona powłoka mglista, a cała dolina, zelektryzowana ożywczym pocałunkiem słońca, przebudza się nagle i uśmiecha jak najradośniej.

Góry, otaczające dolinę Windischgarsteńską, są po największej części pokryte lasami, utrzymywanymi starannie. Lasy te są bardzo rozległe, i nastręczają sposobność do jak najciekawszych wycieczek w głąb świata alpejskiego. Wycieczki te robimy bez wszelkiej obawy, gdyż drapieżnych zwierząt nie ma tam, a ludność jest bogobojną i dobroduszną. Dobrodusznością odznaczają się tam nawet zwierzęta domowe. Mam tu przedewszystkiem domowe psy na myśli. Zachowanie się tych istot wobec obcych wprawia nieraz w zadziwienie. Przechodzimy n. p. przez wieś, albo, jeśli ścieżka tak prowadzi, nawet przez podwórze tego lub owego gospodarza. Psy, leżące przed domem, lub na podwórzu, ujrzawszy nas, nie zrywają się, jak to czynią u nas kundysy wiejskie, aby nas atakować, lecz spoglądają na nas wzrokiem inteligentnym, jak gdyby chcieli w fizyognomji naszej wyczytać zamiar, w jakim przybywamy. Skoro zaś instynktem swym poznali, że nie mamy zamiaru złego, natychmiast przestają na nas spoglądać i już dalej nie troszczą się o nas, lecz oddają się napowrót dumaniu swemu.

Przez lasy Windischgarsteńskie prowadzą wygodne ścieżki do takich miejsc, które się odznaczają bądź widokami pięknymi, bądź jaką inną osobliwością. Ścieżki te są poznaczone i zaopatrzone tablicami. Napisy na tych tablicach informują przechodnia, dokąd ścieżki prowadzą i oznaczają odległość miejsc dotyczących. Urządzenia te są dziełem Stowarzyszenia alpejskiego, a względnie miejscowej sekcji tego Stowarzyszenia.

Oprócz tego posiada Windischgarsten jeszcze drugie Stowarzyszenie, noszące nazwę „Verschönerungsverein.“ Stowarzyszenia tego rodzaju istnieją, jak wiadomo, w Niemczech prawie w każdem mieście i przynoszą dotyczącym miastom korzyści nieocenione. Stowarzyszenia te bowiem składają się z ludzi praktycznych. Stąd też nie marnują one czasu na czczą gadaninę i nie marzą o rzeczach, wymagających do zrealizowania swego wielkich kosztów, a nie przynoszących pomimo to mieszkańcom korzyści bezpośrednich, lecz zajmują się takiemi rzeczami, które z łatwością i małymi kosztami wykonać się dają.

Przedewszystkiem wyszukują one w bezpośrednich okolicach miast takich miejsc, które się odznaczają i zdrowem powietrzem i pięknymi widokami i te miejsca czynią one przystępnemi, łącząc je z miastem wygodnemi ścieżkami. Nadto ustawiają one w tych miejscach kanapki do wypoczynku, stoliki, altanki i t. d. Otóż także Windischgarsten zawdzięcza swemu Stowarzyszeniu ku upiększeniu miasta wiele rzeczy arcypożytecznych. Wymienię tu tylko niektóre.

Droga, prowadząca z Windischgarten do Spital a. Pyhrn, przechodzi zaraz za miastem przez płaskowzgórze, z którego w kilku miejscach otwierają się zachwycające widoki na okolicę. To też za staraniem Stowarzyszenia ku upiększeniu miasta pozasadzano w tych miejscach przed laty lipy, które się rozrosły w rozkoszne drzewa cieniste. Pod temi drzewami poustawiano wygodne kanapki do wypoczynku i ustanowiono dozorcę, który te kanapki i otoczenie ich utrzymuje w porządku.

Tuż obok miasteczka, od strony południowej, widzimy podłóżną górę, oddzieloną od miasteczka łąką szeroką. Góra ta jest porosłą lasem, który w niższych częściach jest szpilkowym w wyższych

zaś liściastym. Otóż Stowarzyszenie ku upiększeniu miasta wyzyskało te korzystne warunki i postarało się o to, że w tym lesie zrobiono długi cienisty deptak i porobiono liczne ścieżki. W punktach zaś ku temu odpowiednich poustawiano kanapki i stoliki. Rzeczone ścieżki wspinają się łagodnemi serpentynami aż na szczyt góry, gdzie nas owiewa powietrze jak najzdrowsze, a umysł nasz rozweselają widoki prześliczne.

Jakkolwiek do lasu, o którym właśnie mówiłem, można dostać się w dziesięciu minutach, pomimo to postarało się Stowarzyszenie ku upiększeniu miasta o to, ażeby w czasie deszczu mieli mieszkańcy jeszcze bliższe miejsce przechadzek. W tym celu założono tuż za miastem, w kotlinie malowniczej park, który posiada dziś już wielkie drzewa cieniste i jest nieocenioną wygodą szczególnie dla takich osób, które nie są w stanie robić wycieczek dalszych. Park ten jest otoczony podwójnym płotem żywym, a nadto oblewa go z jednej strony miluchna rzeka górska, przyczyniając się nie mało do podniesienia jego wdzięku. Także z tej rzeki umiało korzystać Stowarzyszenie ku upiększeniu miasta, urządziło bowiem w parku wygodną pływalnię, w której można pobierać nauki pływania.

Widzimy już z tych kilku szczegółów, że miasteczko Windischgarsten czyni dla swego upiększenia i dla wygód mieszkańców tyle, ile tylko może. Duszą zaś i głównym inicjatorem wszystkich upiększeń i ulepszeń jest burmistrz tameczny, który jest zarazem prezesem Stowarzyszenia ku upiększeniu miasta. Burmistrz ten może służyć jako wzór dla wszystkich dygnitarzy tego rodzaju. Pojął on w całej pełni zadanie swoje i stara się czynić mu zadość jak najsumienniej. Droga zaś, którą do tego celu dochodzić usiłuje, jest równie prostą, jak i praktyczną. Oto w godzinach pozabiurowych przechadza się ten burmistrz w obrębie miasta i przekonuje się własnemi oczami, ażali wykonano należycie to, co zarządził.

Premje dla literatów polskich z fundacji Franciska Kochmana.

Wydział krajowy Galicji rozpisał konkurs z terminem prekluzyjnym po dzień 31. marca 1894 roku na dwie premje z fundacji Franciszka Kochmanna, a to jednę w kwocie pięciuset (500) zł. w. a., a drugą w kwocie tysiąca (1000) zł. w. a. dla dwóch dzieł w języku polskim za najlepsze uznanych i wzywa wszystkich literatów polskich bez różnicy, w którym kraju i pod jakim rządem żyją, ażeby w powyższym terminie dzieła swoje, o ile je uważają za godne ubiegania się o te premje, przysyłali do Lwowa pod adresem wydziału krajowego.

W myśl statutu fundacji mogą być dopuszczone do konkursu dzieła autorów polskich, w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej, zaś wydawnictwa materjałów historycznych lub innych, bibljograficzne itp. tylko wtedy, jeżeli im towarzyszy samodzielne, oryginalne dzieło autora.

Także utwory autorów już zmarłych mogą się ubiegać o premje konkursową, jednakże z zastrzeżeniem, że jeżeli są to dzieła już drukowane za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu prawo do konkursu służy. Jeżeli zaś są to prace jeszcze nie ogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła użytą być powinna.

O pracach autorów jeszcze żyjących samo się rozumie, że jedynie książki drukiem już ogłoszone mają prawo do konkursu. Dawniejsze jednak publikacje niż z roku 1884, jako roku o dziesięć lat wyprzedzającego prekluzję niniejszego konkursu, bez różnicy, czy ich autorowie żyją lub nie, nie mogą według postanowień statutu być dopuszczone do konkursu.

Własność literacka dzieła wynagrodzonego służy autorowi i nadal, nadesłane zaś egzemplarze zostaną na koszt wysyłającego zwrócone tylko na osobne wyraźne żądanie.

Nagroda, przyznana dziełu drukowanemu autora już zgasłego, przypada na rzecz jego spadkobierców, gdyby zaś takich nie było, orzecze komisja konkursowa, na jaki cel nagroda ta ma być użytą.

Ocenieniem dzieł do konkursu zgłoszonych i przyznawaniem nagród zajmuje się komisja konkursowa przez wydział krajowy powołana. W skład tej komisji wchodzą obecnie następujący pp.:

1) Antoni Jaxa Chamiec, członek wydziału krajowego, jako przewodniczący, 2) dr. Gustaw Roszkowski, c. k. profesor uniwersytetu lwowskiego i 3) dr. Zygmunt Samulewicz, c. k. inspektor szkolny krajowy, jako kuratorowie fundacji, przez radę król. stoł. m. Lwowa wyznaczeni.

Z pomiędzy zaś przedstawicieli zawodu naukowego i literackiego:

4) dr. Benedykt Dybowski, c. k. profesor uniwersytetu lwowskiego, 5) dr. Ludwik Kubala, c. k. profesor gimnazjalny, 6) Władysław Łoziński, c. k. konserwator i właściciel dóbr ziemskich, 7) dr. Antoni Małecki, b. profesor uniwersytetu lwowskiego, dożywotni członek izby panów, 8) dr. Tadeusz Pilat, c. k. profesor uniwersytetu lwowskiego, poseł na sejm, 9) dr. Bronisław Radziszewski, c. k. profesor uniwersytetu lwowskiego, 10) dr. Władysław Zajączkowski, c. k. profesor lwowskiej szkoły politechnicznej.

Jakkolwiek komisji konkursowej służy prawo wynagradzania i takich dzieł, które na konkurs nie zostały nadesłane, wzywa się jednakże wszystkich autorów polskich, którzy prawo i widoki do osiągnięcia nagrody mieć sądzą, aby nie omieszkali wziąść udziału w konkursie, komisja bowiem nie bierze na siebie odpowiedzialności za możliwe przeoczenie dzieła godnego nagrody, a nie nadesłanego do ocenienia.